

Porcelanka



ELIZA ORZESZKOWA

Porcelanka

NOWELA

W pokoju, z estetyczną prostotą urządzonym, zmrok zaczynał gasić barwy i zacierać linie sprzętów i obrazów; jednak wyraźnie jeszcze widać było na stole kwiat biały, który, pośród kilku książek i gracików, wznosił się na wysokiej łądydze z podścieliska drobnych jaskrawych kwiatków. Tkanina płatków jego białą połyskującą i tęgością, w której czuć było kruchość, przypominała porcelanę. Biały jak porcelana, na łądydze wysokiej, wydawał się tryumfującym i nieskazitelnym, ale zarazem samotnym, więc smutnym. Na imię mu było: Porcelanka. Te zaś stokrotnie, które u dołu owijały go różowym wieńcem, miały pozór daleko zdrowszy i weselszy. Rumiane, przysadziste, wzrostem sobie równe, poufale jedna do drugiej przytulone, mogły swobodnie szeptać do siebie, śmiać się, co która wołała, lecz zawsze czas spędzać w kompanii licznej, wesoło, zdrowo i z łatwością.

Na sprzęcie, w pobliżu stołu umieszczonym, siedziała kobieta z twarzą młodą, ale znużoną, i pięknymi, lecz przygasłymi oczyma, wpatrywała się w ruch szczególny, który od kilku minut wykonywały płatki białego kwiatu.

Był to ruch zaciekawiający, bo zdawał się pochodzić, nie z zewnątrz, lecz z wewnątrz rośliny, z jakiejś własnej woli jej, czy niemocy — smutku, czy zniechęcania, słowem, z jej własnej, zwykle utajonej duszy!

Odkąd lekka zrazu szarość zmroku poczęła mącić światło dzienne, płatki kwiatu, jakby niewidzialnymi palcami podnoszone, bardzo zwolna, zaledwie dostrzegalnie, zaczęły podnosić się, przybliżać ku sobie, zasłaniać sobą pęk żółtych pylników, aż, zetknąwszy się brzegami, utworzyły z korony, szeroko przedtem otwartej, pęk ściśle zamknięty. W tem, zwolna dokonywanem, poruszeniu objawiać się zdawała chęć zamknięcia wzroku na świat, niemożność czuwania w ciemności.

Gdy kędyś na niebie słońce zniknęło, a w tym pokoju przygaszało światło dzienne, dusza kwiatu posmutniała i biała twarz jego ukryła się przed nocą w sen, czy w skupione dumanie.

Kobieta, ciekawie przypatrująca się temu uspieniu, czy zamysłonemu skupieniu się rośliny, smutnie szepnęła:

— Bez słońca żyć nie może!

Do pokoju wszedł służący z zapaloną lampą, którą postawił na stole, oznajmując zarazem gościu.

— Pan Bronisław Granicz.

Walentyna Kalińska podniosła się z fotelu.

— Prosić!

W głosie jej dźwięczała radość.

Była wysoką i zanadto szczupłą, ale przez to właśnie bardzo delikatną. Od ciemnej sukni odbijała twarz białą, z koralowymi ustami i okrywającą głowę chmurą czarnych włosów. Podniosła się z fotelu z chrzęstem jedwabnej sukni. Ruchem pomimowolnym i z ręką o poręcz sprzętu opartą, z kibicią nieco ku drzwiom wygiętą, miała postawę, wyrażającą poryw, który rzuca naprzód i nieśmiałość, która do miejsca przykuwa. Wystąpiły w tej postawie dwa sprzeczne rysy tej natury: porywczność i wstydlivość.

Czekała.

Po krótkiej chwili drzwi otworzyły się; mężczyzna niewysoki, niezbyt młody ani piękny, wytwornie ubrany, szybko przeszedł pokój, i ręka jej uczuła uściśnienie dłoni męskiej,

krótkie, silne, sprawiające wrażenie iskier, które wytryskują ze zbiornika wewnętrznego ciepła.

Uściśnienia rąk bywają różne: oschłe, ślizkie, pospolite, przyzwoite, natrętne, brutalne; w tem drgało jakby echo, idące od silnego uderzenia serca.

Nie był pięknym, ani już bardzo młodym, lecz rysy, uśmiech, obejście się, dźwięk głosu jego uderzały kipiącym życiem. Było to życie myśli i uczucia, głównie jednak uczucia.

Nie dziw! Trochę poeta i trochę publicysta, mało produkujący, lecz utalentowany, gdyż z wierszy jego, zarówno jak z prozy, w twarze czytelników uderzał blask światła i podmuch ciepła — szczególnie podmuch ciepła. Wydawał się rozumnym i uczuciowym — nadewszystko uczuciowym.

— Pani dziś sama jedna?

— Często bywam sama jedna...

— A pan Julian?

— Mąż mój znajduje się na jednym z pięciuset posiedzeń...

— Które zapełniają mu 365 dni roku... Interesy jego...

— Ambicya...

— Namiętna walka z konkurentami.

— Ogromna energia, potrzebująca ujścia...

— I znajdująca je w tańcu dokoła Cielca Złotego... Niech panią nie obraża szczerość moja, bo ona pomimo mojej woli wybucha z żalu...

— Z żalu nad czym?

— Nad panią!

Jak w uściśnięciu ręki, tak i w głosie jego drgały echa uderzeń serca, a rozumne oczy z szarą źrenicą ogarniały ją spojrzeniem tak pełnym sympatii, że uczuła w sobie jakby tajanie czegoś, co przygasło.

Odwróciła wzrok ku lampie i, zatrzymawszy go na wzbijającej się ku samemu jej ognisku Porcelance, pomyślała:

— Co to? Zaczyna rozwijać płatki?

Kwiat istotnie zaczynał rozwijać płatki. Jakby rozgrzewało go coś, co było ostygło i oświecało go coś, co zgasło. Ale był to zaledwie początek odbywającego się w roślinie tajemniczego aktu, a wzrok Walentyny, prześliznąwszy się tylko po niej, wrócił do szarych oczu Granicza, patrzących na nią prawie z pokorą.

— Proszę, niech mi pani przebaczy szczerość moją, ale ja dziś...

— Ja dziś, pisząc do pana z prośbą o przybycie, myślałam: będę szczerą. Myślałam: choć raz w życiu będę zupełnie szczerą! I wie pan? Od myśli tej uderzał we mnie blask radości!

— Dlaczego: radości?

— Zaraz powiem. Tylko lekkie wietrzyki ciągle szepcą liściom o tem, co staje się na świecie; tylko lekkie dusze często opowiadają ludziom o tem, co dzieje się w ich głębi. Inne milczą. Przez dumę, która nie znosi litości, przez sumienie, które nikogo nie chce oczernić skargą, przez rozsądek, który spostrzega, jak zwierzeniom ust jednych odpowiada na innych poziewanie — milczą.

— Brawo, brawo!

Był to oklask nietylko dłoni i głosu, ale całej istoty jego, zapatrzonej, zasłuchanej, zachwyconej, a ona, przez to ośmielona i rozgrzana, dokończyła:

— Należę do milczących. Nie zwierzam się i nie usprawiedliwiam nigdy. To rozsądnie, ale ciężko. Człowiek niosący brzemień wie dobrze, że nieść je musi, więc niesie, jednak doświadcza ciągle chęci podzielenia się z kimś brzemieniem. Z kim? Najlepiej z przyjacielem!

Zaśmiała się.

— Taką jest przyjaźń: zawiera w sobie brzydką chęć dzielenia się brzemionami!

— Które mogą być wielkiem szczęściem, gdy pochodzą od rąk kochanych.

— Ktoś mądry powiedział, że szczerość jest sercem przyjaźni, które, gdy nie uderza, przyjaźń nie żyje. Pragnę pomiędzy sobą i panem stworzyć to serce, aby żyła przyjaźń.

— Niech żyje! — zawołał.

Rękę jej do ust przycisnął, a potem mówił:

— Od pierwszego na panią wejrzenia i kilku rozmów, któreśmy z sobą w spotkaniach naszych stoczyli, uczulem, że łączy nas ta nić tajemnicza, która nazywa się pokrewieństwem dusz. Niechaj szyderycy śmieją się do woli z tych przeczuć, które zwiastują radość najwyższą w życiu: spotkanie się z duchem pokrewnym. One są i nawiedzają tych, których w zupełności nie podbiła materya i których najobficiej bijące z niej źródła spragnionymi jeszcze pozostawiają.

— Tak! — szepnęła.

On, pochylając się ku niej i w twarzy jej wzrok zatapiając, mówił dalej:

— Radość ta jest najczystsza. Niema w niej „interesów”, „ambicyj”, „walki z konkurentami” i ani cienia Złotego Cielca. Poić istotę kochaną wszystką słodyczą uczuć, które w nas wlała natura, być dla niej nasyceniem, obroną, ciepłem, dobrą radą i wzajem te dobra niewymowne od niej otrzymywać, nie znaczyż to wyłowić perłę najcudniejszą z gorzkich nurtów życia, posiadać klejnot najdrogocenniejszy w oprawie kryształowej? Czyż jestem tak niezmiernie szczęśliwy, że mi pani tę perłę i ten klejnot ofiarowywać raczy?

— Tak, i wzajem o nie dla siebie proszę. Od pierwszego już spotkania z panem zamarzyłam, że... może... może... nakoniec będę miała przyjaciela!

— Jakto? Nikt dotąd?

— O! wielu nazwę tę nadawało sobie i wiele razy w prawdziwość jej wierzyłam — przez chwilę. Mowa ludzka zawiera w sobie mnóstwo samozwańców. Imię przyjaźni i przywiązania otrzymuje w niej często — pajęczyna. Wiatr powieje, fala przepłynie, skrzydło muszki potrąci, pajęczyna jest zerwana i skazańcem jest ten, kto na niej zawiesił swe serce. Jeżeli spadając, nie tłucze się na szczątki, to tylko wówczas, gdy jest ze szkła zahartowanego w ogniu jakiejś nadziei nieśmiertelnej.

On, wzrokiem zawieszony na jej pięknych ustach, rzekł z cicha:

— Więc i tak piękne dusze życie zaprawia ironią!

— Ironię zwycięża we mnie zawsze jakaś nadzieja nieśmiertelna. Już myślałam, że umarła, lecz był to tylko letarg, z którego ją pan obudził.

— Po takim cudzie żadnego już nie pragnę. Być przyjacielem pani...

Zatapiając wzrok, coraz więcej rozplomieniony, w jej oczach, coraz promienniejszych, dokończył:

— Duszą w duszę pani patrzeć...

Niewiedzieć dlaczego uczuła potrzebę spuszczenia powiek i zgaszenia żartobliwością tego płomyka, który — palący i niespodziewany wpadł w nią — z jego oczu.

— Więc zawieramy *pacta conventa!* — zażartowała.

— Przyjaźni, która samozwańczynią nie będzie i przywiązania, z którego nigdy serce nam nie spadnie — jak z zerwanej pajęczyny.

Ruchem zupełnie jednoczesnym podali sobie ręce i wstrząsnęli je w uściśnieniu mocnym, ale gdy jej ręka wnet cofnąć się chciała, on ją w dłoni przytrzymał i, ze wzrokiem na nią spuszczone, mówił cicho:

— Ręka poetki! Liść lilii i więź drgających strun...

W rysach zadrgały mu także jakieś struny potajemnie, a ona znowu, nie wiedzieć czemu, odwróciła twarz całą z rumieńcem ku lampie, w której ciepłe i światłe Porcelanka coraz więcej budziła się z sennej zadumy. Widać było, że jeszcze trochę, a biała jej korona roztworzy się w pełni, jak przy wzeszłym słońcu. Tylko u brzegu jednego z jej płatków ciemniała drobna plamka rdzawa, której przedtem nie było.

Bronisław Granicz powstał, uczynił kilka kroków, popatrzał chwilę na obraz, przyodzabiający ścianę, i wrócił do towarzyszki z rysami uspokojonymi, oblanymi uśmiechem żartobliwym.

Trudno — by powiedzieć, czy świadomym lub mimowolnym był ruch, którym krzesło swe bliżej ku jej siedzeniu przysunął. Siadając, mówił z uśmiechem:

— Od niedawna znalazłszy się w kole towarzystwa tutejszego, nieraz już słyszałem przyjaciółki pani...

— Przyjaciółki? — powtórzyła ze śmiechem.

— Przyjaciółki.

Zaśmiał się także i zauważył:

— Jak my się jednostajnie z tych samych rzeczy śmiejemy. Zgoda dusz, upodobania, nawet brzmienie głosów! Otóż, słyszałem przyjaciółki pani, mówiące: „Ta biedna Walentyna! Do tej biednej Walentyny! Z tą biedną Walentyną”. Dlaczego biedna? — zapytywałem siebie, bo tych pań pytać nie chciałem. Posiadając młodość, urodę, majątek, stanowisko, taki epitet od świata otrzymać? Miałyby przyjaciółki pani na myśli te 500 posiedzeń fachowych i 300 wieczorów kartowych, które stanowią rok męża pani?

— O, nie! Z tej strony wydają się tym paniom tylko zazdrości godną, bo posiadam kartę konstytucyjną, która mi obok budżetu wysokiego zapewnia wolność nieograniczoną. Epitet pochodzi właśnie stąd, że nie dość radują mnie te dobra...

— I że wśród tych, które pani posiada, nie znajduje się natura trzeźwa. Nieprawdaż? Na sposób żaden nie można nazwać panią naturą trzeźwą. Czy zgadłem? Będę śmiały. Pozwolę sobie zgadywać dalej. Nie! Pozwolę sobie raczej duszą w duszy pani czytać...

Pochylił się tak, aby móżdżek w samą twarz jej patrzeć. Uśmiechał się trochę drżącymi ustami.

— Ale dlatego, aby dusza mogła czytać w innej duszy, zwierciadła owe znajdować się muszą wprost naprzeciwko siebie. Niech pani swego powiekami nie zasłania.

Podniosła powieki i oczy jej całe w płomieniach spotkały się z jego oczyma, w których gorzał płomień.

— Tak. Dobrze. Teraz czytać zaczynam. W cudnym zwierciadle tem odbija się dusza rzadka, jedna z tych, które Bóg rozsiał po ziemi, jak gwiazdy po niebie, aby ciemnościom świeciły. Jest pani idealistką, więc istotą, która cierpi na nostalgię ideału. Mieć nostalgię ideału, znaczy to: umierać z tęsknoty za rzeczami niemożliwymi. Należy pani do tych, którzy marzą o budowaniu drabin ku gwiazdom, spotykane postaci ubierają w czary własne, a omyłkę spostrzegłszy, płaczą nad nią, jak nad trumną, którzy smucą się nad falą, że ucieka i nad pieśnią, że przebrzmiewa, szukają doskonałości w państwie, któremu królujecie ułomność i wiecznego trwania w tem, czemu na imię: kruchość...

Przerwała mu ze śmiechem:

— Słowem, próbują chwycić za skrzydła wiatr, lecący polem i o samem południu szukają na zegarze godziny czternastej. Odgadł pan. Jestem taką.

On szepnął:

— Ja również. Jesteśmy jednacy.

Na twarz jej spadła jasność wielkiego szczęścia. Czuć się dokładnie wyczytaną i na innej karcie wyczytywać te same zgłoski, z jakich składa się wyraz naszej istoty własnej, to wielkie szczęście! Z wyrazem szczęścia w oczach patrzyła na Porcelankę, której korona rozwinęła się już w całej pełni. Wtem, ruchem zdziwienia obróciła głowę ku towarzyszowi, który zapytywał:

— Co pani uczyniła ze swoim karnawalem przeszłorocznym?

— Pan wie o tem?

— Opowiadały mi te panie... „Niech pan sobie wyobrazi! — mówiły — przeszłoroczny karnawał był ożywiony i wesoły, zabaw rozmaitych było mnóstwo, wszystkieśmy jak szalone tańczyły przez kilka tygodni, stroiły się, bawiły w sposób rozmaity i jedna tylko ta biedna Walentyna, błysnęła parę razy na balach w toalecie z pomiędzy najpiękniejszych najpiękniejszej, poczem wzięła, i ni z tego, ni z owego, na wieś do rodziców wyjechała. Caluteńki karnawał — mówiły — ta biedna Walentyna przesiedziała na wsi, przez okna zamazłe patrząc jak śnieg pada”. Tak mówiły — czy prawdę?

— Prawdę! Nie wiem już po raz który próbowałam razem ze wszystkimi iść do studni uciech, ale wody jej były tak zimne... na balach tylko tak ziębłam...

— Ziębła pani?

— Tak. Toalety najpiękniejsze nie kochają mnie, nie gawędzą ze mną poufale, nie dzielą ze mną myśli i wzruszeń; więc odpłacam im wzajemnością: nie kocham ich, nie zajmują mnie one, nie dbam o wrażenie, które czynią w świecie. A co do tych kuligów, niezmiernie hucznych, z których w jednym udziale wzięłam, to mi brzęki upręży i śmiechy licznych ust przeszkadzały słyszeć, jak śnieg pada...

— Słyszec?

— Tak. Czy pan zauważył ten rytm monotony i nieustanny, jakim płaty śniegu padają na ziemię wśród ciszy niezmaconej? Ani jeden nigdy nie zlatuje powietrzem śpieszniej albo powolniej od innych, lecz wszystkie posłusznymi się zdają muzyce, którą my

tylko z ich lotu zgadywać możemy. Pojechałam na wieś, aby słuchać jak płaty śniegu padają w takt niewzruszony na gałęzie starych wiązów, wznoszących się za oknami mego domu rodzinnego... To taka biała pieśń...

— A mnie się teraz zdaje, że słucham pieśni...

Że zaś ręka jej była podobną do przeciągniętej przez liść lilii więzi strun grających, więc ją wziął i zamknął w gorących dłoniach.

— Pieśnią także są dla mnie opowiadania mego starego ojca. Siwy teraz, jak gołąb, młodość miał rozbłysłą momentem bohaterskim, który mu na całe życie wypełnił pamięć takimi wspomnieniami, że gdy je opowiada, przenosząc się myślą w świat uczuć wielkich, czynów mężnych, mąk ponoszonych za budowanie drabin ku gwiazdom i — tracę swoją nostalgię. Starą matkę mam także, której choroba ciężka do połowy ubezwładniła nogi. Więc gdy tam jestem, oprowadzam ją po domu zwolna, zwolna, w każdym jego zakątku spotykając i jej wskazując pamiątki mego dzieciństwa szczęśliwego i jej niezmiernej dobroci. W tych przechadzkach także opuszcza mnie moja nostalgia.

— Ja tracę swoją, słuchając pani...

Mógłby dodać: „I rękę pani pieszcząc”, bo z pieszczotą nieśmiałą dłoń po niej przesuwiał. Ona też, czując przenikające ją wzruszenie nowe, obce temu, o czym mówiła, niespodziewane, utkwiała wzrok w rdzawą plamę, która na płatku Porcelanki wciąż rozszerzała się, rozszerzała i wyegzaltowana, drugą rękę swą do czoła przyciskając, prędko mówiła:

— Czegoż nie dotykałam, o co nie zaczepiałam rąk i myśli, aby jej się pozbyć, tej nostalgii za niedoścignionem! W rodzinnym domu jeszcze, prawie dziecko, ołśnił mnie ideał wiedzy. Zerwałam się ku niemu i już pogonić miałam za nim w dalekie kraje, gdy spostrzegłam, że rodziców czynię przez to zupełnie nieszczęśliwymi i — pozostałam...

— Złote serce! — szepnął i oparł ramię o poręcz sprzętu, na którym siedziała, w sposób taki, że prawie dotykał niem jej czarnych włosów.

— Serce moje leciało na spotkanie przyjaźni, które okazywały się...

— Samozwańczyniami!

— Przywiązań, które były...

— Pajęczynami!

— Z ratunkiem ku nieszczęściom, z pomocą potrzebom ludzkim...

— Więc i filantropia...

— Pełna pociech, lecz dla mnie trudna...

— Słyszałem, jak mąż pani uczynki miłosierne nazywa...

— Premiami, udzielanemi niedołęstwu, a ludzi ubogich od domu śpiesznie oddalać rozkazuje, bo roznoszą zarazki chorobotwórcze!

Zaśmiała się, ale ostro, niespokojnie, bo od ramienia, które dotykało jej włosów, przenikał ją prąd ostry i niepokojący, coś, co podniecało nerwy, a tamowało mowę. Uczuła potrzebę, w źródle swem niejasną: wstać i oddalić się.

Wstała.

O dwa kroki od towarzysza stanęła przy stole, obok Porcelanki, która, wznosząc na łądydze wysokiej koronę szeroko rozwartą, miała już na płatkach kilka plam rdzawych i czerniawych. Ale nie widząc w tej chwili ani kwiatu, ani dokoła nic, w uniesieniu coraz prędzej mówiła:

— Gdybym miała talent jaki! Brałam lekcje muzyki i rysunków... Ach, śmiesznie powiedzieć i wstyd... Ale powiem: pisałam wiersze! Cóż, skoro nie jestem wybranką Muz! Nie jestem wybranką Muz i — dom mam pusty. Nie mam dzieci i ogniska domowego także, wcale... Niech mnie pan nie pyta, dlaczego w taki sposób pokierowałam swoim losem. Na świecie jest tyle omyłek, podstępów, wyobraźni, złudzeń, niedoświadczenia. Długo by mówić... Teraz zaś cóż? Zerwać okowy i szukać szczęścia? A rodzice, dla których bunt mój byłby ciosem, może śmiertelnym? Każdy ma coś, co oszczędzać musi. I zresztą szukać szczęścia... Co za szaleństwo! Ono to idzie na spotkanie człowieka, a jeżeli nie idzie, to najlepiej dumnie głowę podnieść i powiedzieć: obejdę się bez ciebie! Oddawna już powiedziałam szczęściu: obejdę się bez ciebie! Tylko, — że życie mam puste. Każdego ranka zapytuję siebie: na co mi dzień? I odpowiadam: na nic! Ściany tego domu ciągle mnie zapytują: po co życie? Odpowiedzi nie znajduję. Bywają nędze rozmaite, tylko, że

dla głodu ciała każdy ma litość i pomoc, a o głodzie godzin nikt nie wie, bo ten, który go doświadcza — milczy. Moje upominają się o pokarm, a zabaw, strojów, rozmów pustych — nie chcą. Mogłabym je tem wyżywić — ale nie chcą. A oprócz tego nie mam nic, chyba jeszcze wielki kłopot ze swoją przewróconą głową. Jestem przewróconą głową i wiem o tem doskonale. Na zegarze świata szukam godziny, której zapewne wcale niema. Czasami jednak myślę, że może jest i tylko ja dostrzedz jej nie umiem. Kiedy dowiedziałam się, że pan do miasta naszego przybywa, nadzieja, którą miałam za umarłą, zaczęła budzić się z letargu, kiedy zobaczyłam pana, obudziła się zupełnie. Poprzedziła tu pana sława wielkiego umysłu i serca. Z uściśnienia ręki, z brzmienia głosu, ze słów i z oczu, odgadłam, że nie skłamała i powiedziałam sobie: słońce wschodzi! Zamarzyłam znowu o przyjaźni serdecznej i wiernej i o tem także, że będę miała mistrza. Dlatego dziś napisałam z prośbą o godzinę rozmowy, a pisząc, myślałam: będę zupełnie szczerą! Powiem wszystko. Powiedziałam. Przy wschodzącym słońcu otwierają się w pełni korony kwiatów. Czuję głęboko szczęście, które sprawia otworzenie na oścież duszy przed kimś daleko wyższym nademnie. Naturalnie, że pan jest stokroć rozumniejszy od kobiety, która umie tylko tęsknić i szukać, ale nie umie znaleźć. Co mam czynić? Co kochać? Po co pragnąć, usiłować, choćby cierpieć, byleby zgasić ogień tęsknoty, odpędzić marę nudy i mózdz chwilom męki powiedzieć: odejdźcie, bo ja czemuś służę i jestem potrzebną! Przeszłość ojca mego, to słup świetlany, za którym pragnę iść, ale — drogi nie widzę. On wskazać mi jej nie może, biedny gołąb siwy, który nowych dróg świata już nie dostrzega. Pan je znać musi lepiej, niż wszyscy. Pan wie o wszystkich drogach dobrych, wiodących ze świetlanymi słupami. Jedną z nich pan mi wskaże, nieprawdaż? Ja wiem, że tak od razu nie można. Ale w głębi przyjaźni prawdziwej, serdecznej, płyną strumienie takiej sympatyi, na których przyplływają wszystkie możliwości. Pan będzie mi przyjacielem i zarazem mistrzem — prawda? Razem będziemy na zegarze świata szukać tej niewidzialnej, tej upragnionej, tej przez nas tylko marzonej godziny — nieprawdaż? Będziemy razem budować tę drabinę, która do gwiazd... nieprawdaż?

Nad siły wzruszona, nie mogła mówić dłużej. Twarz miała w płomieniu, oczy w blaskach, ręce splecione u piersi, jak do modlitwy.

On wpatrzony w nią, z piersią szybko oddychającą, zbliżył się, wziął w dłonie te splecione ręce i rzekł:

— Prawda! Na dnie mojej przyjaźni dla pani płynie strumień takiej sympatyi, że gdy na panią patrzę, świat i wszystko, co na nim, ginie mi z oczu i pamięci.

Gradem pocałunków okrył ręce, które drżały mu w dłoniach, jak więz strun targanych i powtórzył:

— Prawda! Niema nic takiego, czego nie usiłowałbym dla pani uczynić, o czem nie pragnąłbym z panią mówić, czego nie poszedłbym z panią szukać, byleby wolno mi było patrzeć w twoje oczy i głosu twojego słuchać.

Ramieniem otoczył jej kibić, a ona pobladła, oporu nie stawiała. Źrenice jej zachodziły mgłą upojenia.

— Prawda! Człowiek znajduje szczęście wtedy tylko, gdy ono samo wychodzi mu na spotkanie. Ani mnie, ani pani nie spotkało dotąd nigdy... Teraz przybywa! Tuż obok nas czuję gorący jego oddech i tę siłę magnetyczną, która pociąga nas za niem — choćby w otchłań!

Pociągnął ją ku piersi, a jej głowa, jak kwiat w podmuchu wiatru, pochyliła się i oparła na jego ramieniu.

— Biedna! samotna! szlachetna! prześliczna! Moja! Czy moja?

Wraz z ostatnim wyrazem usta jego spoczęły na jej ustach.

W pokoju zapanowała cisza. Minuta... dwie, i — nagle, silny okrzyk niewieści:

— Nie! nie!

Stała za stołem z lampą, mieniając się na twarzy purpurą i bledością, prawie z obląkaniem w oczach. Mężczyzna pozostał tam, gdzie stał przedtem i głowę pochylił nisko.

— Nie, nie! Nie tego chciałam! Nie po to... Boże wielki! Pan może myśli, że po to wzywałam...

Zaśmiała się takim śmiechem, w jakim serce rwie się na szmaty i ciągle tak śmiejąc się, mówiła:

— Więc tak... tak! Zgoda dusz, patrzenie duszą w duszę, nostalgia ideału... budowanie drabiny ku gwiazdom... obrona, dobra rada... O, samozwańcy!

Śmiała się jeszcze chwilę; on milczał. Potem była znowu minuta ciszy, aż bez śmiechu już, owszem, ponura i ze zmarszczonym czołem, cicho rzekła:

— Byłam szczerą, niech pan wierzy, że byłam zupełnie szczerą. Tylko obudził pan we mnie głos, którego nigdy słuchać nie chciałam, któremu, ilekroć się odzywał, rozkazywałam — spać. Obudzony przez pana, ozwał się, ale na szczęście prędko umilkł wobec — wstydu. Nie będziemy szukali razem na zegarze świata godziny nadzwyczajnej, aby nie znaleźć najgminniejszej!...

Teraz on, nie zbliżając się, w postawie nieruchomej i z głową spuszczoną, mówić zaczął:

— Błagam o przebaczenie, choćby dlatego, że mówiąc o rzeczach nadprzyrodzonych, byłem tak jak i pani zupełnie szczerym i tylko — omyliłem się na samym sobie. Rozumiem dobrze czystość uczuć i wzniosłość pragnień pani, nie przestanę też nigdy rozpaczać nad tem, że klejnot w kryształ oprawny, który mi pani ofiarowywała, z ręki mi wypadł. Kryształy są bardzo piękne, lecz w rękę ludzkim istnienie ich nietrwale. Moja ręka, mniej może gruba od innych, jest przecież ludzką. Takie istoty, jak pani, są wypadkiem zabłąkanymi na ziemi i dlatego udziałem ich pośród zwyczajnych jej mieszkańców musi być — samotność. Niech pani z pobłażliwością istot niebieskich przebaczy i wierzy w mój najszczęśliwszy, najgłębszy szacunek!

Ciągle o kilka kroków oddalony, złożył ukłon, pełen szacunku — i odszedł.

Wiele czasu upłynęło. Walentyna Kalińska obudziła się z kamiennej zadumy i mętnym wzrokiem powiodła dokoła pokoju znowu pustego.

Nagle wstała i wzięła w ręce szklane naczynie z kwiatami.

Co to znaczy? Szeroko rozwarłe płatki Porcelanki utraciły swą tęgość i połyskliwość, a na powierzchnię ich wystąpiło mnóstwo rdzawych lub czerniawych plamek. Wyglądała tak, jakby ją coś zmięło i oparzyło. Dokonało tego sztuczne światło i piekące gorąco lampy.

Kobieta długo patrzyła na zmiętą i oparzoną koronę kwiatu, aż z oczu jej ogromnie smutnych zaczęły padać wielkie krople łez, gdy usta do pobladłego koralu teraz podobne, zaszeptały:

— Lampę wzięła za słońce!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/porcelanka>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Chwile, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1901.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0645-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.